

Yan Lianke

Sutra Serca

przełożyła Joanna Krenz

 Państwowy
Instytut
Wydawniczy

PRZEDSŁOWIE 3

Przeciąganie liny to najstarsza dyscyplina sportowa na świecie. Jej początki sięgają okresu społeczeństwa niewolniczego w dziejach Chin, a dokładniej ówczesnej kultury łowieckiej i wykształconych przez nią sposobów rozstrzygania spornych kwestii w trakcie polowań. Na przykład, kiedy podczas polowania udało się postrzelić jelenia, ale nie było wiadomo, czyja strzała zadała śmiertelną ranę, strzelcy stawali do pojedynku siłowego. Jeden z nich ciągnął za rogi zwierzęcia, a drugi szarpał w przeciwnym kierunku za tylne nogi. Zwycięzca otrzymywał łup. Później, aby uniknąć uszkodzenia zwierzyny, zaczęto zastępować obiekt sporu pnączem ciągniętym przez rywali. Z biegiem czasu praktyka ta wyewoluowała w konkurencję sportową, którą znamy dziś jako przeciąganie liny. Zaczęto organizować zawody. Aby łatwiej było określić zwycięzcę, na ziemi rysowano linię, zwaną rzeką, stąd obecna chińska nazwa dyscypliny: *bahe* – dosłownie ‘przeciąganie przez rzekę’. Kto przekraczał „rzekę”, przeciągnięty przez przeciwnika, przegrywał.

W okresie panowania dynastii Tang czas na cesarskim dworze umilano sobie zawodami, w których jedną z dyscyplin, oprócz przeciągania liny, było także toczenie jedwabnej piłki oraz kopanie lotki. Na przestrzeni wieków przeciąganie liny stało się najbardziej rozpowszechnionym sportem w Chinach. Ze względu na swą prostotę i powszechność w końcu zaczęło budzić zainteresowanie

także w innych krajach. Stopniowo zyskało status najpopularniejszej dyscypliny na świecie.

Konkursy zwykle składają się z trzech rund i toczą się do dwóch wygranych, lub z pięciu rund do trzech wygranych.

W dawnych Chinach w niektórych regionach przeciąganie liny było formą hazardu. Na wsiach w tego rodzaju rozgrywki zaczęto angażować psy, bydło, konie i inne inteligentne zwierzęta. Ludzie przegrywali dobytek życia, zachwianiu ulegały relacje między sąsiadami, społeczności podupadały. W Nowych Chinach – przeciwnie, przeciąganie liny stało się chętnie podejmowaną aktywnością fizyczną, pomagającą zachować dobrą kondycję i zdrowie, cieszącą się niesłabnącym zainteresowaniem zarówno w szkołach, jak i obozach wojskowych, a także szerzej – w całym społeczeństwie, pośród wszystkich grup etnicznych. Znaczy ono nową drogę ku sprawności, radości i jedności socjalistycznego ludu chińskiego.

fragment Kodeksu sportowego Nowych Chin z 1950 roku

1. YAHUI

Buddyści wierzą w przeznaczenie jak Bodhisattwa we własne palce.

Jednak Yahui miała wątpliwości, czy rzeczywiście wszystkie sprawy tego świata leżą w gestii losu. Na przykład takie przeciąganie liny. W zmaganiach pomiędzy śmiertelnikami zawsze – jak czerń czernią, a biel bielą – jest zwycięzca i przegrany. Ale kiedy przy dwóch końcach liny znajdują się dwie religie, nie sposób przecież wskazać tryumfatora, czerń i biel stają się nagle mniej oczywiste. Wystawmy do zawodów drużyny buddystów, taoistów, protestantów, katolików, do tego muzułmanów z Ningxia i Gansu, rozpiszmy drabinkę turniejową, każmy im zmierzyć się każdy z każdym, i co? Czy da się wskazać zwycięzców? Czy da się wskazać przegranych? Gdzie tu miejsce na przeznaczenie?

To trochę tak, jak gdyby zima starła się z latem. Teoretycznie nie powinno do tego dojść, bo przecież z jednej strony dzieli je od siebie wiosna, a z drugiej jesień. Ale przecież i bogom zdarzają się pomyłki. Gdyby tak na przykład zamknęli w piekle wiosnę i jesień, doszłoby do bezpośredniej konfrontacji zimy z latem. Ogień z lodem walczyłyby wręcz, splecione w śmiertelnym uścisku, żarcie, jakby przegrany miał zostać skazany na wieczne tortury, a zwycięzca chodzić w wiecznej światłości.

Tym razem zawody odbywały się pod koniec września. Żar lał się z nieba, ludzie gotowali się we własnym

sosie. Kampus, wszystkie okoliczne ulice i cały Pekin dosłownie dusiły się w wielkim parowniku lata. Odziani w żółte kaszaje, ogoleni na лыso mnisi z drużyny buddyjskiej, zawsze kiedy zajmują pozycję, wyglądają jak sznur żebrzących pochodni. Ich przełożeni i współbracia w krótszych, ognistopomarańczowych tunikach przycupnęli z boku, by dopingować swoich. Ich niewzruszone, melancholijne zwykle twarze teraz promieniały. Nawet na policzki najwyższych rangą opatów wystąpił radosny rumieniec. Oklaskiwali wygrywających, wspierali okrzykami słabszych, dopóki nie udało im się przeciągnąć rywali na tyle, by doprowadzić do wyrównania. Dopiero wtedy wracał na ich oblicza spokój, a w serca pewność, że Angulimala³ nie ma mocy zgładzić Buddy.

W tej odsłonie turnieju miało dojść do starcia protestantów z katolikami. Obie religie wystawiły pięcioosobowe reprezentacje. Zawody rozgrywały się na szkolnym boisku do badmintona. Wszyscy wyszli na plac boju w podkoszulkach, szortach i butach o przyczepnych podszwach. Nawierzchnia była świetnie przygotowana. Ziarenka czerwonej żywicy syntetycznej przylegały ściśle do siebie, podłoże było elastyczne i przypominało pulchną twarz buddyjskiego mnicha kucharza. Katolicy ustawili się po wschodniej stronie, protestanci po zachodniej. Dyrektor Gong, organizator turnieju, osobiście nakreślił na czerwonej nawierzchni białą linię rozdzielającą drużyny.

Reprezentanci protestantów to bynajmniej nie pierwsze z brzegu owieczki czy zwykli kaznodzieje, ale najwyżsi rangą pastrzy. Podobnie wśród katolików – nie jacyś byle braciszkwowie czy siostrzyczki, ale wszyscy co do jednego księża. Tylko oni wszak mają prawo zostać

zakwalifikowani do zaawansowanej grupy mistrzowskiej w Centrum Kształcenia Religijnego, a zatem i uczestniczyć w turnieju przeciągania liny. Zgromadzona wokół boiska publiczność składała się z mistrzów taoizmu, starszyzny klasztorów buddyjskich, opatów, imamów – generalnie samych dostojników i tych, którzy przygotowywali się do przyjęcia wspomnianych godności.

Był to bowiem konkurs przeciągania liny pomiędzy najbardziej wtajemniczonymi mistrzami, między bogami, między ludźmi, między bogami a ludźmi. Yahui przyszła kibicować. Nie mogła nie przyjść. Zawody odbywały się w ramach zajęć z ekumenizmu w Centrum Kształcenia Religijnego. Wszyscy uczniowie mieli obowiązek się stawić.

No więc przyszła.

Przyszła spóźniona.

A to dlatego, że akurat robiła wycinanki w swoim mieszkanku w akademiku. A potem zagapiła się trochę w lustro. A jeszcze potem, po drodze, zagapiła się na najwyższy ze szkolnych budynków i zadumała się, jak by to było dobrze, gdyby to był budynek dla mniszek, patrząc zaś na nowy, okazały gmach głównej biblioteki, pomyślała, że szkoda, że mniszki nie mają takiego skryptorium, to dopiero byłby szpan. Zaśmiała się na tę myśl, a śmiejąc się, potknęła się o kamienie. Popatrzyła więc na kamienie i znów się zamyśliła. Wczoraj potknęło się o nie jakieś dziecko, dzisiaj ja, ciekawe, kto potknie się jutro? Pochyliła się, by przenieść dwa kamienie na pobocze. Przymierzyła się kilka razy, ale te ani drgnęły. Przechodził akurat obok młody taoista, który pospieszył jej z pomocą. Leciutko, jak gdyby nigdy nic, uniósł kamienie i umieścił obok chodnika. Żeby nie przygnieść rosnącej